Nr. 9. Kraków, Wrzesień 1918. Rok XII.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
I ADMINISTRACYA:
Kraków,
plac Matyacki L. 2.
Telefon 483.

Prenumerata roczna 3 K.
półrocznie 1 K 50 h.

Cena egzemplarza
wynosi 25 halerzy.

TRESC NUMERU IX-go:

Kto winien?

Smutek nas ogarnia, gdy słyszymy dzisiaj coraz częściej skargi na Pana Boga. Żal ludzie mają do Boga za tę wojnę, winują Go za nią, tak jakby ta wojna pochodziła od Niego, jakby tylu potwornych zbrodni sprawcą był Bóg. Są między ludźmi nawet tacy, co tracą wiarę w Boga, co mówią, że gdyby Bóg istniał, nie pozwoliłby na takie ohydne mordy i rzezie. Straciwszy wiarę, puszczają się ludzie na zbytki i oddają się rozpuście. Dzisiaj widzimy, jak wojna, ogółem rzecz biorąc, podkopała wiarę i rozluźniła obyczaje. Dziś widzimy namacalnie, czem jest wojna. Dotąd, do chwili jej wybuchu w r. 1914, znaliśmy ją z książek tylko, lubiliśmy czytać o wojnach, szukaliśmy opowiadań o wojnach i karmiliśmy tem wyobraźnię; dziś wojnę znamy w całej jej nagości i nie bawi nas ona, mamy do niej głęboki wstręt, wiemy, że ona jest potworem, że ona jest bezwstydnicą i rozpustnicą, czujemy, że ona pochodzi od szatana, nie od Pana Boga. Wojna jest dziełem szatańskiem, dziełem zepsutej woli ludzkiej, dziełem namiętności, zaślepienia — lecz czemuż za to rzucamy się na Pana Boga, jakby On był jej sprawcą, jakby On tę wojnę na nas zesłał? Czemu krzy-

wdzimy w ten sposób Boga, który jest Dobrocią i Miłością?

Powinniśmy przecie odróżnić to, co jest szatańskie i ludzkie, od tego, co jest czysto Boże. Powinniśmy to, co jest Boskie, odnosić do Boga i przypisywać Bogu, zaś to, co jest ludzkie i szatańskie, winniśmy przypisywać szatanowi i ludziom. Nie mieszajmy jednego z drugiem. Przedstawmy sobie człowieka, który żyje gdzieś we wsi — ostatni łajdak, skończony drab, pijak, jawnogrzesznik, podpalacz, złodziej, rabuś, gorszyciel i morderca. Robi drugim krzywdę, tyle rodzin już z dymem puścił, tyle już uwiódł, tyle pokradł i tyle ludzi pomordował. Matkę zabił, co sama miała nieletnie dzieci pod swą opieką, sąsiada zastrzelił, który nic mu nie był winien — i człowiek ten żyje i chodzi po świecie.. Przesiedział się w więzieniu kilka, może kilkanaście lat, ale mu tam dawali jeść, pić, przesiedział swoje i znowu wrócił do wsi i mieszka sobie tam po dawnemu. Nie spada na niego piorun z jasnego nieba, nie rozstąpi się pod nim ziemia i nie pożre go bezdenna, piekielna otchłań. On sobie i teraz nic z niczego nie robi i dalej grzeszy, dalej broi, dalej krzywdzi...

Niech teraz znajdzie się kto we wsi, coby krzyczał i podniósł gwałt, że temu wszystkiemu winien Pan Bóg, że te nieszczęścia, jakie na wieś spadły, pochodzą od Boga, że to Pan Bóg karze, że Pan Bóg tego chce. — Czy nie byłoby to bluźnierstwem? Czujemy, że człowiek, coby tak mówił, zasługiwałby na nazwę głupiego? Bo to naprawdę byłaby głupota tak mówić.

A czemu Pan Bóg tego człowieka nie skarze? Czemu? A skądże ty wiesz, że go Bóg nie skarze? Oj, skarze go Pan Bóg, skarze okropnie, skarze surowo, tak surowo, jak sobie ten zbrodniarz zasłużył. — Lecz czemu mu Pan Bóg pozwala na takie zbrodnie? Dlatego, bo ten człowiek ma wolną wolę; gdyby mu Pan Bóg zabrał wolną wolę, ten człowiek straciłby to, co stanowi jego wielkość na świecie. Pan Bóg mu daje z pewnością natchnienia do dobrego, wyrzutami sumienia chce go nawrócić, ale gdy ten zbrodniarz się opiera, Bóg go zostawia samemu sobie, pozwala mu iść jego własną drogą, nie chce jego grzechów, ale dopuszcza je, bo nie chce mu łamać wolnej woli.

I tu jest cała tajemnica wszystkiego, we wolnej woli naszej. A ty sam, czyś nie zgrzeszył nigdy, powiedz? Mogłeś zgrzeszyć, źle zrobić — bo masz wolną wolę. Bóg ci pozwolił na to, także cię nie odrazu ukarał, nie spuścił na ciebie zaraz piorunów, nie chciał Bóg twego grzechu, ale go dopuścił, bo tobie wolno robić, co ci się podoba. Tylko, gdy dobrze będziesz robił, kiedyś Bóg cię nagrodzi, gdy grzeszyć będziesz, Bóg cię skarze.

Odnieśmy teraz to wszystko do wojny. Tam jest taksamo prawie. Bóg wojny nie chciał nigdy, bo przecie On, sama Miłość, wojny nie może chcieć ani pragnąć, bo On się wojną, jako potwornym grzechem, brzydzi — ale wojny chcieli ludzie niedobrzy, zaślepieni, wojny chciał szatan; Bóg dawał z pewnością natchnienia dobre tym, od których to zależało, aby załatwili rzecz pokojowo, ugodą, szatan jednak kusił i podjudzał; ludzie mogli byli iść za głosem Bożym i byłby pokój na ziemi; ludzie jednak poszli za podnietą szatańską i mamy wojnę na ziemi, prawdziwe piekło z płaczem i zgrzytaniem zębów. Ludzie mieli wolność wyboru między Bogiem a szatanem, tę wolność wyboru, tę wolność woli dał im Bóg, Bóg się ich woli nie sprzeciwiał, bo On szanuje godność ludzką. I stało się wszystko wedle woli ludzkiej, wedle chcenia człowieka — i oto mamy całą tajemnicę rozwiązaną. I o tej wojnie możemy powiedzieć, co powiedział Mickiewicz:

„Sam sobie człowiek służy za kata,
Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata".

Zrobił sobie człowiek koło, któremu na imię wojna, wplótł się w nie, włożył je sobie na szyję, i teraz się wypleść z niego nie może. Mógłby i teraz jeszcze uwolnić się od niego, mógłby i teraz zawrzeć pokój, ale kto zabrnął po uszy w grzech, temu przychodzi już trudno zupełne wyzwolenie się z grzechu.

Bóg więc nie winien wojnie, Bóg dopuścił wojnę, pozwolił człowiekowi na nią, a dlatego pozwolił, bo człowiek ma wolną wolę, może sobie robić, co chce. Dlatego też i w takiem znaczeniu powiadamy, że wojna jest dopustem Boskim, jest dopuszczeniem Bożem.

Nie krzywić się nam tedy, nie rzucać na Boga i nie miotać ku Niemu bluźnierstw, tylko boleć, że ludzie Bogu krzywdę zrobili, że Go ludzie obrazili i obrażają jeszcze największym grzechem, jaki kiedykolwiek cała ludzkość popełniła, grzechem niemiłosiernej wojny. Największym

grzechem ludzkości nazwał bowiem tę wojnę papież Benedykt XV. Przepraszać nam tedy Boga, smucić się i pokutować za siebie i za drugich — i jeszcze błagać i prosić i modlić się, aby przecie Bóg tajemnicą swojej łaski przywiódł ludzi do opamiętania i żeby wrócił sprawiedliwy pokój. Pomimo wszystko bowiem, On to może uczynić — wszak jest Bogiem.

Matka.

Już piąty rok szalejąca wojna tyle wyrządziła społeczeństwu ludzkiemu szkody, że jej dziś niepodobna nawet skontrolować w całości; widzimy poszczególne braki przez nią wywołane i to te, które od razu biją w oczy swą grozą, a natomiast wiele innych, mniej uderzających, uchodzi naszej uwagi. Jedną z tych wojennych szkód, jest zepsucie wśród młodzieży, zarówno szkolnej, jak i tej, co już ze szkoły wyszła. Skarżą się matki (bo na ich prawie wyłącznie barkach spoczywa teraz ciężar wychowania dzieci), że się młodzież nasza robi coraz więcej krnąbrna, nieposłuszna, unika pracy, a rozleniwiona, trwoni czas na ulicy, na wałęsaniu się. Dzienniki codziennie przynoszą wiadomości o małoletnich złodziejach, — o dzieciach, które biorą udział we włamaniach — o studentach nawet, którzy organizacye złodziejskie zakładają, którzy, jak na polowanie, do innych miast na kradzieże się wybierają i t. d. Przypomnijmy sobie jeszcze jeden smutny fakt, jaki się niedawno temu we Lwowie zdarzył: świętokradzkie okradzenie kościoła przez chłopców z niższego gimnazyum — fakt wymowny, bo świadczący o obniżeniu uczuć religijnych w naszej młodzieży. Zapewne i przed wojną były wśród niej występki, mieliśmy nieraz powód niepokoić się jej zachowaniem się, ale każdy przyzna, że wojna pogłębiła i rozszerzyła to zepsucie. Ojcowie, których silna ręka musi kierować dzieckiem, po największej części przy wojsku, a jeśli nie, to zapracowani od świtu do nocy, prawie zupełnie nie wpływają na wychowanie synów i córek. Bo i jakżeż mogą to czynić, jeśli ich widzą tylko wieczorem powróciwszy do domu od pracy ciężkiej, — tembardziej raz w roku wydostawszy się od wojska na krótki urlop, kiedy to na nich czeka w domu tysiąc spraw i kłopotów! Dlatego matki dziś więcej, niż kiedy indziej, muszą się wychowaniem dzieci zająć. Wiedzą o tem, poczuwają się do obowiązku;ale trudności, jakie napotykają, zniechęcają je tak, że popróbowawszy i dobroci i złości, dają za wygraną, przestają się przejmować życiem dzieci, pozwalają im na wszystko, twierdząc, że wszystko napróżno, że ich starania nie odnoszą żadnego skutku. Czy naprawdę wolno matkom tak mówić — i czy rzeczywiście ich praca jest bezowocna?

U ludów południowych krąży opowiadanie o matce, której dzikie zwierzę porwało dziecko; cóż miała robić? Za słaba, by je wydrzeć ze szponów zwierzęcia, szła tylko za niem, obłąkana boleścią i płacząca, aż zwierzę poruszone jękiem matki, oddało dziecię! Oczywiście — zdarzenie zmyślone, ale co w niem uderza? Oto i nie cywilizowany człowiek zna potęgę matki, jest przekonany, że jej słowu nic się nie oprze, skoro nawet nierozumne stworzenie jej płacz poruszył. Zaiste, jest to prawda stwierdzona doświadczeniem wieków!

Przypatrzmy się rodzinie chrześcijańskiej. Jest w niej ojciec, zwany głową rodziny; podobnie obok niego jest matka, serce rodziny. Ojciec panuje w domu władzą rządzenia, on tu panem; panuje i matka, a to władzą miłości. Ojciec królem, matka — aniołem ma być.A czy Bóg nie przygotował jej do tego szczytnego posłannictwa? Dał Bóg kobiecie serce tkliwe, by żywo odczuwała niedolę drugich; ojciec przejdzie nieraz zimny obok smutnego dziecka, nie odczuje jego strapienia, bolu; matka inaczej — wystarczy jej jedno spojrzenie, jedno słowo, by jej przyrodzona zdolność odczuwania odkryła ból dziecka; nie minie go, ale będzie chodzić koło niego, uspokajać, pocieszać, aż je zrozumie i pomoże. I to właśnie — owa zdolność odczuwania duszy dziecka — jest najpiękniejszym przymiotem wychowawcy. Dlatego wszyscy się zgadzają, że najlepszą w dzieciństwie jest szkoła matki i również najlepszą jest ta szkoła, która dziecku przypomina w wychowawcy matkę.

Dalej — nie poprzestaje matka na samem tylko zrozumieniu, czego dziecku brakuje, lub co mu dolega — ze zrozumienia płynie miłość. Cuda, rzecby można — ona działa. Niema trudu, któryby był zbyt ciężki dla matki, gdy idzie o dziecko; niema ofiary, przed którąby się zawahała, gdy jej wymaga dobro dziecka. I co najdziwniejsze — samo macierzyństwo przemienia w ten sposób ko-

rdetę. Prawda — zdarza się nieraz, że dziewczyna lekkomyślna, płocha, wychodzi za mąż. Bawi ją to nowe życie; bo to zmiana; cieszy ją to, że ma w mężu obrońcę swej godności — że ma swój dom, którego jest panią — podoba się jej to i bawi ją. W głowie jej jeszcze ciągle stroje, chęć podobania się, zabawy i t. d. Oparta o ramię męża, sunie ulicą uśmiechnięta do życia, zadowolona, bez troski. Ale oto Bóg pobłogosławił związek małżeński dzieckiem; kobieta ma przy sobie nową istotę, ściśle z nią związkami krwi złączoną, oddaną jej przez Boga, jakby skarb na przechowaniu; istotę maleńką, niedołężną, tak, że gdyby ją zostawić bez opieki, zmarnieje. Obserwowaliśmy wszyscy pewnie dziwną przemianę kobiety w matkę. Ta, która do wczoraj jeszcze myślała o zabawie, dziś gotowa nad kolebką ślęczeć i całemi nocami nawet; ona, co tak lubiła piękne stroje, świecidełka, ozdoby, dziś zapomniała o tem — na gołej ziemi spać będzie, zapomni o jedzeniu, zaniedba strojenia się, a wszystkie uczucia, myśli, zwróci ku kwilącemu dziecku. Bóg widocznie, Ten, co człowiekowi wyznacza różne w życiu zadania i do ich spełnienia go uzdalnia — ze szczególną miłością zajął się duszą kobiecą, wyposażył ją w tyle przymiotów, byle tylko jak najlepszą była matką. Dziecko rośnie, a z niem rośnie i troska matki o nie, przybywa jej kłopotów, zwiększają się trudy około jego wychowania. Warunki wymagają kształcenia dziecka, lub kierowania niem tak przez życie, by sobie zdobyło miejsce w społeczeństwie, by było pożytecznym jego członkiem. Matka przejęta myślą i pragnieniem szczęścia dziecka, wszelkich dołoży starań, by ten cel osiągnąć. Piękny typ takiej matki, co dla kształcenia synów i nędzy w oczy popatrzy, przedtawia powieść Sewera p. t. „Matka"; jej treścią trudy góralki ze Sandeczyzny, walczącej z niedostatkiem, zapracowanej śmiertelnie dla synów uczących się w gimnazyum; obrazek wzięty z rzeczywistości.

Powiedzcie mi teraz, czy nie takie są nasze matki? Być może, znacie wyjątki — matki, które się nie czują matkami; ale takiemi są chwilowo, w pewnych okresach życia, kiedy im zbyt ciężko z dziećmi; nawet i wyrodne, zbrodniarki kobiety, nie są wyjęte z pod ogólnego prawa natury i Boga, i one mają serca macierzyńskie, i one kochają dzieci. Dlatego oparty o to przeświadczenie nie wierzę i nie uwierzę nigdy w to, by trud matki miał być daremny; może dziś, jutro, przez rok, nawet przez całą młodość nie wyda owocu, ale kiedyś, w odpowiedniej chwili odezwie się w sercu dziecka wspomnienie matki, jej posiew pocznie kiełkować, róść, aż stokrotny wyda plon.

J. P.

Echo kołyski.

Gdym jeszcze dzieckiem był
Budzącem się na świat,
Gdy wątły życia kwiat
Jeszcze się w pączku krył,
Na łono matka mnie brała,
Pieściła i całowała,
Gdym jeszcze dzieckiem był.

Pamiętam po dziś dzień,
Jak kojąc płacz lub gniew,
Nuciła tęskny śpiew,
Co falą słodkich brzmień
Dobywał uśmiech na nowo
I każde piosenki słowo
Pamiętam po dziś dzień.

„Dziecino nie płacz! nie!
Rozjaśnij twoją twarz,
Dopóki matkę masz,
Nie może ci być źle;
Na mojem oprzej się łonie,
Ja cię przed bolem zasłonię.
Dziecino nie płacz; nie!

„Chowaj na później łzy!
Dziś jeszcze anioł-stróż
Girlandą białych róż
Okala twoje sny,
Na tkance marzeń pajęczej
Maluje kolory tęczy:
Chowaj na później łzy!

„Rozkoszą wszystko tchnie,
Śpiewa ci ptaków chór,
W twem niebie niema chmur,
Ani goryczy w łzie;
Życie uśmiechem cię wita
I każdy kwiat ci rozkwita,
Rozkoszą wszystko tchnie!

„Więc duszę swoją pieść
Jutrzenką rajskich farb,
I czystych uczuć skarb
W niewinnej piersi mieść!
Byś mógł zaczerpnąć w tym zdroju,
Gdy ci przybraknie spokoju:
Więc duszę swoją pieść!

Adam Asnyk.

Św. Mateusz, Apostoł i Ewangelista.

(21. września).

W Palestynie, nad pięknem i rybnem jeziorem Genezaret, leżało bogate, handlowe i ludne miasto Kafarnaum. Przez miasto to prowadziła handlowa droga z Damaszku do Akki nad brzegiem morza Śródziemnego, co sprzyjało rozwojowi miasta i utrzymywało w niem wielki ruch handlowy; następstwem tego był wysoki stopień ludności i zarazem wielka zapewne ilość upadków i grzechów. To właśnie miasto obrał sobie Pan Jezus za miejsce największej swej działalności; często tam zachodził, często tam mieszkał i bardzo wiele cudów tam zdziałał. Kafarnaum — było tem miastem, które najwięcej może Jezusowych nauk słyszało. Ewangeliści też zowią je miastem Jezusa.

Kafarnaum miało komorę celną, ustanowioną przez Heroda Antypę, której każdy, wchodzący do miasta z towarami, musiał się opłacać, musiał zapłacić myto drogowe czy mostowe. Opłatę odbierali celnicy, którzy często dopuszczali się nadużyć, zdzierając z ludzi więcej, niż mieli do tego prawo. Dlatego, chociaż byli sami żydami, napotykali u reszty żydów na wielką pogardę i nienawiść. Celnik i grzesznik — to były u żydów dwa wyrazy, znaczące prawie to samo.

Jednym z takich celników był Mateusz, zwany także: Lewi. Był to zbogacony na cle żyd, zdzierający z ludzi grosz zwyczajem innych celników. Słyszeć on musiał wiele o bawiącym wtedy w mieście Jezusie, o Jego cudach i Jego kazaniach. Musiał być zaciekawiony osobą Zbawiciela, może nawet był kiedy między Jego słuchaczami. Jednego dnia przechodził Pan Jezus koło rogatki celnej, przy której odbierał cło Mateusz. Zbliżył się do niego Jezus „i rzekł mu: pójdź za Mną. (Mateusz) wstał tedy i poszedł za Nim“. Tak stał się Mateusz uczniem, apostołem Chrystusa Pana, tak się urzeczywistniło jego powołanie. Krótkie wezwanie Zbawiciela — i natychmiastowa zgoda celnika z wolą Jezusa. Zanim jednak opuścił swój urząd, sprosił do siebie tego dnia swych kolegów celników na ucztę pożegnalną, na którą przyszedł także Pan Jezus z Apostołami. Tam Jezus rozmawiał, jadł i pił razem z celnikami i grzesznikami ku zgorszeniu obłudnych faryzeuszów.

Tak się przedstawia powołanie Mateusza na apostoła według Ewangelii św. Co potem Mateusz czynił? To, co i inni uczniowie. Więc chodził z Jezusem wszędzie, był świadkiem Jego nauki i Jego cudów; gdy Pan Jezus rozesłał apostołów we dwójkę po całej Palestynie, aby nawiedzali domy żydowskie i głosili Królestwo Boże, poszedł także i Mateusz z drugim towarzyszem po kraju. Był potem świadkiem męki Zbawiciela, był świadkiem Jego zmartwychwstania i wniebowstąpienia. Otrzymał razem z innymi apostołami Ducha św. w dzień Zielonych Świątek.

A potem? Potem apostołował — nauczał i chrzcił i dawał Ducha św. tym, co chrzest przyjęli — dawał odpuszczenie grzechów tym, którzy się z grzechów kąpali. Apostołował głównie w Palestynie między żydami, chcąc swój własny naród przedewszystkiem nawrócić do Chrystusa i ochrzcić. Napotykał jednak wszędzie na twardy opór, napotykał prześladowania chrześcijan. Po 15 latach pracy nad żydami, widząc bezowocność swych wysiłków, opuścił granice Palestyny i zwrócił się do pogan. Zaczął apostołowanie wśród pogan.

Chciał jednak żydom zostawić coś po sobie na pamiątkę. I tym żydom, co się już ochrzcili i tym, co twardo stali przy swem zaślepieniu. Napisał mianowicie Mateusz około r. 42 po Chrystusie książkę, w której przedstawił życie Boskiego swego Mistrza, Jego nauki i Jego cuda. Innemi słowy napisał Ewangelię swoją i to w języku takim, jakim mówili ówcześni żydzi, t. j. w języku aramajsko-palestyńskim. Ci, co z żydostwa przeszli na chrześcijaństwo, mieli w tej Ewangelii znaleźć naukę, zachętę i utwierdzenie w wierze, dla tych zaś, co Jezusa nie chcieli uznać Mesyaszem, miała być książka Mateuszowa napomnieniem i ostrzeżeniem przed karą Bożą.

Tych właśnie ostatnich żydów chce św. Mateusz jeszcze raz swoją książką przekonać, by uwierzyli, iż Jezus był prawdziwym, od proroków przepowiadanym, Mesyaszem. Wykazuje im naocznie, jak przepowiednie proroków na Nim się spełniły — przytacza w tym celu przeszło 70 przepowiedni Starego Zakonu. Udowadnia, że Kościół, założony przez Chrystusa, jest Królestwem Mesyańskiem, zapowiedzianem także przez proroków. Chce im wytłómaczyć, czemu wszyscy żydzi nie przyjęli Jezusa, czemu tylko garstka się ochrzciła i że Bóg za karę odwrócił się od nich, a obrał sobie pogan. Ogromne zastępy pogan przyjęły już naukę Chrystusa i stały się uczestnikami Kościoła Bożego, albowiem Bóg w miłosierdziu Swojem powołał do zbawienia całą ludzkość, a Ewangelię kazał głosić wszystkim narodom: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha świętego.“

Tak pożegnawszy swych rodaków miał się św. Mateusz udać do Etyopii, do Persyi i do Macedonii i tam szerzyć Królestwo Boże. Miał także zginąć śmiercią męczeńską, chociaż udowodnić tego historycznie się nie da. Ewangelię jego przetłómaczono około r. 70 na język grecki, którym wówczas cały ówczesny oświecony świat mówił. Ewangelia ta stała się ukochaną księgą pierwszych chrześcijan, najmilszą lekturą uczniów apostolskich i Ojców Kościoła, opanowała liturgię kościelną — stała się jednym z najcenniejszych

skarbów dogmatycznych Kościoła świętego, a Mateusz stał się przez nią „kaznodzieją katolicyzmu".

Kończąc ten wywód historyczny o św. Mateuszu, chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników na Ewangelie. Niech je otworzą i zaglądną do pierwszej z nich. Będzie to właśnie Ewangelia św. Mateusza „najważniejsza księga historyi świata" — jak powiedział jeden z największych wrogów Kościoła, Renan. Niech ją czytelnicy nasi przeczytają, ale spokojnie, uważnie i rozmyślając o tem, co przeczytają. Jeśli ją skończą raz, niech ją zaczną czytać po raz drugi, trzeci i czwarty — bez końca. Przekonasz się czytelniku, że za każdym razem książka ta będzie ci milsza, jaśniejsza — i słodsza. Stanie ci się słodką, jako miód. Niczego tak nie pragnęlibyśmy, jak, aby każdy z was miał w ręku Ewangelie i aby te Ewangelie stały się waszą książką najmilszą, najczęściej przez was czytaną. Ks. St. S.

Blizny św. Franciszka.

Któż nie słyszał o św. Franciszku Serafickim, o tym ubogim i pokornym braciszku z Assyżu? Jeden to z największych świętych Kościoła katolickiego, jeden to z tych ludzi, których ludzkość podziwia i zawsze podziwiać będzie. Sam ubożuchny i za głupstwo się uważający, potrafił natchnąć i odrodzić obyczaje chrześcijańskie, wlać ducha nowego w psujący się świat — a uczynił to przez założenie trzech zakonów, z których jednym był zakon trzeci, t. zw. tercyarze.

Czcimy św. Franciszka w dniu 4 października; dnia 17 września jednak obchodzi Kościół uroczyście pamiątkę wielkiej łaski, jaką ten święty odebrał od Pana Jezusa, mianowicie pamiątkę blizn św. Franciszka. O otrzymaniu tych blizn chcemy tutaj wspomnieć.

We Włoszech niedaleko góry Kamedulii, na której św. Romuald założył bardzo surowy zakon, nazywający się od nazwy góry zakonem Kamedułów, była inna góra, zwana Alwernią. Górę tę bardzo polubił św. Franciszek. Często tam uczęszczał na modlitwę, nieraz uciekał tam na całe tygodnie, od świata, pokutując i modląc się, zdala od ludzi — za towarzyszów mając tylko śpiewające ptaszki. Trawy zielone, krzewy i szumiące lasy podnosiły duszę pokornego braciszka ku Bogu. Widział on bowiem we wszystkiem Boga, dzieło Boże. Tak był przejęty św. Franciszek myślą o Bogu, tak był skupiony i zatopiony w Bogu i tak wszędzie, we wszystkiem widział moc i obecność Bożą, że gdy miał przejść przez strumyk, wahał się i czuł się tego niegodnym, bał się splamić i zbeszcześcić stopami swemi to dzieło Boże, jakiem jest woda. Siebie miał za grzesznika, za nic, wszystkiem u niego był Bóg.

W r. 1224 w lecie udał się św. Franciszek wedle zwyczaju na górę Alwernię i tam pościł 40 dni. Odbywał on ten surowy post na cześć św. Michała Archanioła. Cały ten czas przepędzał, jak anioł, zajęty jeno Bogiem. Jednego dnia wpadł w zachwycenie. Ujrzał, jak z nieba zleciał jasny, jako słońce skrzydlaty duch, jakby archanioł jaki, mający ręce rozpięte na krzyżu, a na rękach krwawiące od ran blizny. Kto to był, na pewne niewiadomo. Jedni twierdzą, że był to Anioł, posłany do Franciszka od Pana Jezusa, drudzy są zdania, że był to sam Pan Jezus, który przyszedł sam udzielić Franciszkowi jednej z największych łask Bożych. Zawisnął bowiem w powietrzu nad Franciszkiem, a kiedy ten padł na ziemię w zachwycie, uderzyły w niego promienie z blizn zjawiska i przeszyły ręce i nogi i bok św. Franciszka tak, że otwarły się tam rany i zaczęła płynąć krew. Potem zjawisko odeszło do nieba.

Współcześni kronikarze piszą wyraźnie o tych bliznach, że nie były to jakieś znamiona tylko lub jakieś blizny zagojone, ale że były to otwarte rany i głębokie otwory, krwią spływające. Ażeby krew zatamować, trzeba je było okrywać bandażami, jak o tem mówi brat Leon, najbliższy towarzysz Franciszka. W środku dłoni i stóp sterczały wewnątrz ran gwoździe ciemnego koloru, twarde, mocne. Ranę miał także na boku, i to na boku prawym — bo i Pan Jezus miał przebity prawy bok, przebity jednak tak silnie, że włócznia dotarła aż do lewego boku i tam otworzyła serce, a z serca tego wypłynęła krew i woda.

Po otrzymaniu blizn ułożył św. Franciszek w języku włoskim dwa hymny. W pierwszym każda zwrotka kończy się słowami: „Miłość w ogień mnie wrzuciła"; w drugim, dłuższym, wyraża święty ogromną miłość ku Bogu i oświadcza przy końcu, że nie pragnie już niczego, jak tylko umrzeć z miłości. Być może, że i pod tę porę także ułożył tę cudowną modlitwę.

„Niech siła miłości Twojej, o Jezu mój, ogarnie duszę moją: abym umarł dla miłości Twojej Miłości, któryś raczył umrzeć dla miłości mojej miłości".

Odtąd przez dwa lata jeszcze żył w ciągłem cierpieniu. Bo nie myśmy sobie, że te blizny, jakie otrzymał, były na to, aby mu dać niejako niebo już tu na ziemi, nie! te blizny przyniosły mu ból i cierpienie. Krew z nich się lała, bolały go one, cierpiał i męczył się. Ale on cierpiał z radością dla Jezusa. Nadto cierpiał na oczy, miał zapalenie ócz, na które wreszcie mimo dwóch operacyi oślepł; chorował jeszcze na żołądek i wątrobę. W ostatnich miesiącach życia swego ułożył jeszcze „Hymn słońca", w którym rozwodzi się nad chwałą Bożą.

W dniu 4 października 1226 r. — była to sobota — Franciszek przyjął ostatnie Sakramenta święte, podyktował braciom swój testament, kazał sobie śpiewać „Hymn słońca", potem odczytać szczegóły Męki Pańskiej z Ewangelii św. Jana, wreszcie odmawiając psalm 141 — oddał Bogu swą anielską duszę. W dwa lata później po niezliczonych cudach, jakie działy się na grobie jego, wyniósł go Kościół św. na ołtarze.

Czci św. Franciszka Kościół cały, czcijmy go wraz z Kościołem. Ukochajmy Boga, jak on Go ukochał. Żyjmy w obecności Bożej, jak on żył, módlmy się w skupieniu, jak on się modlił. Kiedy patrzymy na świat, gdy mamy przed sobą pola i łąki, drzewa i lasy, strumyki i rzeki i błękit niebieski, wznośmy się na widok tych rzeczy do nieba, do Pana Boga, albowiem te rzeczy są Boże, są dziełem Bożem. Zawsze tak na nie patrzył św. Franciszek i dlatego one go pobudzały do modlitwy, do myśli o Bogu i do miłości Bożej. Gdy tak żyć będziemy, to i śmierć będziemy mieli szczęśliwą. Uczmy się też cierpliwości od św. Franciszka. Jakże on znosił bóle i dolegliwości, jakże był nękany chorobami! Oślepł przecież na końcu, wysechł od postów i cierpień — a przecież kochał go bardzo Pan Jezus! Nam się zdaje, że jak kogo Bóg miłuje, to taki nic nie cierpi i już tu na ziemi na różach sypia spokojnie i wesoło. O nie! na św. Franciszku mamy najlepszy dowód, że przez cierpienie oczyszcza się dusza ludzka i dochodzi do Boga. S.

Kto żyw między nami, kto wiarę katolicką szczerze kocha, ten niech popiera prasę katolicką. Być może, że wydawnictwa katolickie niekiedy pod niektórymi względami chromają, ale pamiętajmy, że gdyby miały więcej prenumeratorów i kupujących, w krótkim czasie przewyższyłyby inne. Od nas to samych zależy! Zresztą musimy się zgodzić na to, że prasa wolnomyślna wydaje się pozornie tak dobrze prowadzoną dlatego, że na zmysły działa, często szerzy senzacyjne wiadomości i mało krytycznego człowieka olśniewa. A są ludzie, którzy w tego rodzaju rzeczach mają upodobanie, bez oglądania się na zdrowie moralne i pożytek; a niemała też jest liczba i takich, którym błyskotliwy frazes imponuje ponad wszystko, bez względu na jego naukową nicość i wykazany niejednokrotnie brak wszelkiej wartości. Tego rodzaju pisma nie dla nas!

Popierajmy więc dobre gazety, przyjmujmy je jak miłego gościa pod naszą strzechę. Ze szczególniejszą radością witajmy w rodzinach naszych pisma o charakterze religijnym, aby one mogły w nas wzmacniać życie religijne i w oddawaniu należnej czci Bogu podtrzymywać.

(Ks. Biskup Antoni Jul. Nowowiejski.

Z chwili obecnej.

Papież Benedykt XV. o Polsce.

Niezwykle radośnie brzmiały dzwony kieleckich kościołów rankiem we środę dnia 17 lipca b. r. Witały legata papieskiego, protonotaryusza Stolicy św., ks. Rattiego, z Warszawy. Ludu tłum słuchał w podniesieniu ducha uroczystej Mszy św., którą mr. Ratti odprawił w katedrze w obecności biskupa Łosińskiego i kapituły. Gdy po Mszy św. ks. legat opuszczał katedrę, wezbrane uczucie przywiązania do Kościoła buchnęło falą tłoczącej się rzeszy — jedni rzucali się do nóg, inni całowali z uwielbieniem ręce papieskiego wysłańca. Nieraz już pewnie mr. Ratti był świadkiem żywej, polskiej wiary, przecież i tym razem wzruszony był do łez jej objawem.

Po Mszy św. ks. biskup przyjmował uroczyście wysłannika Ojca św. w swym pałacu. Przez dwa dni zwiedzał legat wszystkie instytucye Kielc. Widział osobliwość tej dyecezyi: dom emerytów-księży; zwiedził szpitale, stowarzyszenie św. Zyty, dom Związkowy młodzieży kieleckiej, drukarnię „Jedność", którą niedawno sprawił ks. biskup dla redakcyi „Ojczyzny", prowadzonej przez ks. Z. Błaszczyka. Dłuższy czas zabawił w seminaryum duchownem. Witał go tutaj pięknem przemówieniem regens seminaryum, ks. Gawroński. Ks. Ratti w odpowiedzi wyraził wdzięczność za serdeczne przyjęcie, za to, co widział, co czuł. Ks. biskupowi za tak wspaniałe prowadzenie dyecezyi, duchowieństwu za tyle i tak skutecznej pracy, nad ludem, całemu narodowi za żywe i silne przywiązanie do Kościoła.

— Kiedy mi Ojciec św. proponował obecną misyę — mówił — wymawiałem się brakiem sił do tak trudnego zadania. A Ojciec św. powiedział mi — ani słowa od siebie nie dodam: „Nie bój się trudności, pójdziesz przecież do narodu, u którego wiara pierwsze miejsce zajmuje i który pierwsze zajmuje miejsce wśród narodów swą powszechną religijnością. Polonia semper fidelis. Pójdziesz do narodu-męczennika, który za wiarę i wolność krwi tyle przelał, pójdziesz do narodu, który dziś jak Łazarz wstaje z grobu do nowego życia i choć jeszcze ma na sobie śmiertelne powijaki, już nie jest w grobie". I przekonałem się, że to, co Ojciec św. mówił, jest prawdą i powtórzę Ojcu św. jak mieszkańcy m. Samaryi: wiem, jak dobry to naród, już nie dla twego opowiadania, sam bowiem widziałem i przekonałem się o tem. Więcej widziałem, niż mi Ojciec św. mówił, opowiem mu też wszystko. On myśli o was, on was zna, ale jeszcze lepiej was pozna i bardziej pokocha, gdy mu opowiem swe wrażenie".

W mowie tej ks. Rattiego było tyle serca i szczerości, że w kilku momentach głos mu drgał, a serca polskie, które go słuchały, tak łatwe do współdźwięku z uczuciami drugich, zadrgały również w kapłańskich piersiach, zwłaszcza że ton, który brzmiał w mowie legata, tak nam jest drogim. Nie dziwnie też, że i posiwiałym w udręce niewoli i młodym kapłanom, patrzącym nadziejnie w najbliższą przyszłość, wilżyła łza oko, lub nawet cicho spływała po ulicach.

Raz jeszcze, w kaplicy seminaryjnej wypowiedział mr. Ratti słów parę do kapłanów, odprawiających właśnie rekolekcye. Wskazał na praktyczne wnioski z rekolekcyi: częste odwiedzanie Chrystusa po kościołach i kierowanie się w życiu zasadą: „ubi Ecclesia, ubi Petrus“, a Piotrem dla dyecezyi jest biskup. Owo podkreślenie znaczenia biskupa wskazuje, jak trafnie ocenił legat działalność obecnego przedstawiciela episkopatu kieleckiego. To samo zresztą wrażenie odnosił każdy, kto widział szczęście rozlane po twarzach obydwu przedstawicieli Kościoła, ilekroć z sobą przestawali.

W piątek odprowadziło liczne duchowieństwo mr. Rattiego do pociągu, który go miał zawieźć z powrotem do Warszawy.

Katolicyzm w Rosyi po wybuchu rewolucyi.

Wiadomo, że za rządów carskich Kościół katolicki był w Rosyi mocno skrępowany. Uprzywilejowane stanowisko mieli prawosławni, katolicyzm często cierpiał prześladowanie. Wybuch światowej wojny przyniósł nadzieję, że może się cokolwiek zmieni na lepsze, rzeczywistą jednak poprawę stosunków przyniosła dopiero rewolucya, która wybuchła w marcu 1917 roku.

Po wybuchu rewolucyi wydał mohilewski biskup-administrator ks. Cieplak list pasterski, w którym najgoręcej powitał wyzwolenie ludu rosyjskiego z dotychczasowych pęt i wolność religijną, jaką to wyzwolenie przyniosło. Była to wolność i swoboda w całem znaczeniu słowa. Przyszedł do władzy Kiereński, za którego kilkumiesięcznych rządów zostały zatwierdzone uchwały Komisyi likwidacyjnej dla Królestwa Polskiego i poręczona Kościołowi katolickiemu zupełna wolność w całej Rosyi. Dozwolone zostało wskrzeszenie dawnych dyecezyi katolickich, tworzenie nowych, mianowanie sufraganów i to bez współudziału i bez zatwierdzenia rządu. Tak Kościół został tam zupełnie wolny od rządu. Dotychczas wskrzeszono tam dyecezyę mińską.

Po upadku Kiereńskiego przyszli w październiku 1917 r. do władzy bolszewicy. Wolność Kościoła została taka sama, jak za Kiereńskiego, zmieniło się tylko o tyle, że za Kiereńskiego rząd wypłacał jeszcze pensye duchownym tak prawosławnym, jak i katolickim, bolszewicy zaś to zupełnie znieśli i majątki kościelne pokonfiskowali w wielu miejscowościach. Pozatem zachowali bolszewicy w stosunku do Kościoła katolickiego nietylko tolerancyę, ale nawet pewnego rodzaju stanowisko uprzywilejowane, dlatego głównie, że księża katoliccy narażeni byli pod rządami carskimi na ucisk i na prześladowanie. Widzą dziś bolszewicy w księżach katolickich ofiary prześladowań dawnych rządów carskich, gdy tymczasem duchownych prawosławnych uważają za tych, co pragną powrotu cara. Stąd nienawiść ku nim. W kilku tylko miejscowościach przyszło do rozruchów, w których zginęło także sześciu księży katolickich.

Tak więc odetchnął Kościół katolicki na ziemiach rosyjskich. Uzyskał swobodę i wolność, uzyskał także powagę, pewien urok, który i imponuje i przyciąga serca. Tak np. procesya Bożego Ciała w Piotrogrodzie odbyła się w tym roku z niezwykłą okazałością. Zgromadziła ona takie nieprzeliczone tłumy, że rozwinęła się na przestrzeni kilku wiorstw i wywarła głębokie wrażenie. W koloniach polskich, rozrzuconych po całej Rosyi, życie katolickie bić poczęło ożywionem tętnem. Wiele było wypadków powrotu na łono Kościoła katolickiego i nawrócenia. Nawet wśród rodowitych Rosyan było kilka nawróceń z prawosławia na katolicyzm, głównie wśród rosyjskie arystokracyi rodowej i w sferach urzędniczych. Najwięcej takich wypadków było na Ukranie.

Odetchnął Kościół katolicki w Rosyi, otwarły się dla niego nowe, szerokie, niedostępne mu dotąd pola i dziedziny. Nie ze wszystkiem jednak katolicy są przygotowani do objęcia wszystkich placówek pracy, brak sił niejednokrotnie, należy tedy wytężyć wszystkie siły i nie żałować trudu, aby odpowiedzieć ze wszechmiar powołaniu i wymaganiom położenia.

Ograniczenia Kościoła w Królestwie Polskiem.

Dziwnym splotem okoliczności w Rosyi, w tej Rosyi, co gnębiła katolicyzm, co od długich lat nakładała na niego pęta, nastały teraz po rewolucyi dla Kościoła czasy zupełnej wolności; w Polsce zaś, w tej Polsce, co była zawsze i jest w olbrzymiej większości katolicką, religia katolicka tej wolności w takim stopniu, jak obecnie w Rosyi, nie posiada. W Rosyi bowiem zniosła rewolucya wszystkie ograniczenia carskie i wprowadziła wolność wyznań, w Polsce zaś rozmaitych ograniczeń, pokutujących dotąd po dawnem samodzierżawiu carskiem, prawnie i urzędowo nie zniesiono.

Załatwienie tej rzeczy było sprawą piekącą. Dlatego też zwrócono na to uwagę na obradach Rady Stanu w Warszawie i przyjęto wnioski, aby znieść wszelkie ograniczenia w stosunku do Kościoła katolickiego i aby wznowić i natychmiast obsadzić stolice biskupie w Lublinie i w Janowie na Podlasiu.

Obsadzenie biskupstw zdaje się przyjdzie zaraz do skutku, zwłaszcza, że właśnie przyjechał do Warszawy wizytator apostolski z Rzymu. Co do zniesienia ograniczeń i zawarcia ze Stolicą apostolską konkordatu czyli umowy, na razie ministerstwo wyznań i oświaty przygotowuje projekt tego konkordatu. Ponieważ jednak jest to sprawa międzynarodowa, a rząd polski jeszcze nie uzyskał od Niemców swobody w zawieraniu umów międzynarodowych, więc rząd będzie dopiero musiał czynić wysiłki, aby od Niemców tę wolność otrzymać. Ministerstwo wyznań i oświaty przygotowuje także nowe prawa dla Kościoła katolickiego w Polsce, prawa wolności i swobody, aby Kościół, wiedziony myślą Chrystusa, mógł się rozwijać i sam rządzić.

Wskrzeszenie dyecezyi mińskiej.

W r. 1798, a więc tuż po ostatecznym rozbiorze Polski, odłączona została gubernia mińska od swej dotychczasowej dyecezyi do Mohilewa. Pierwszym biskupem mińskim był Ks. Jakób Dederko. Dyecezya jego obejmowała 92 parafie, 59 klasztorów i blisko 240 tysięcy wiernych. Tak powstałe biskupstwo mińskie istniało do r. 1869, w którym to roku car najwyższym ukazem dyecezyę i biskupstwo w Mińsku zniósł, a dyecezyę całą przyłączył do Mohilewa. Ostatni biskup miński, Ks. Wojtkiewicz, wygnany ze swej stolicy, umarł w r. 1870 w Wilnie.

Dzieje tej dyecezyi są jaskrawym obrazem, jak z kościołem katolickim obchodził się dawny rząd carski. Kiedy przyszła do władzy rewolucya i Kościół uzyskał wolność, zaraz odpowiednie czynniki zabiegały o to, aby wznowić dyecezyę mińską. Przyszło to dość łatwo do skutku i niedawno czytaliśmy, że odbyła się już w kościele archikatedralnym w Warszawie konsekracya nowego biskupa. Biskupem mianowany został Ks. kan. Łoziński. Urodził się on w r. 1870 w ziemi nowogrodzkiej na Litwie, a więc w przedrogiej ziemi, która nam wydała wieszcza Adama Mickiewicza. Kto czytał co o życiu Mickiewicza, wie, iż wielki poeta posiadał przyjaciela Czeczota. Ks. biskup Łoziński jest potomkiem tego Czeczota po kądzieli. Szkoły ukończył w Warszawie, następnie w Piotrogrodzie, w stolicy Rosyi też ukończył seminaryum. Jest on uczonym, poświęcił się głównie studyom biblijnym, jest znawcą języków, a w czasie wizytacyi, jaką odbył wraz z Ks. biskupem Cieplakiem po Rosyi europejskiej i po Syberyi, miał dosyć sposobności do przypatrzenia się tamtejszemu życiu i do poznania stosunków. Stanowisko jego, jako biskupa mińskiego, jest bardzo ważne dla nas, tak pod względem religijnym, jak i narodowym — lecz oczy Polaków zwrócone są dziś ku niemu z ufnością, bo mąż to pod każdym względem do objęcia tej placówki przygotowany.

Nowi biskupi polscy.

„Osservatore Romano“ z 31 lipca ogłasza prekonizacyę sześciu biskupów-sufraganów polskich. Prekonizowani zostali:

Ks. prałat Stanisław Gall, regens warsz. metropolitalnego seminaryum duchownego i wikaryusz jeneralny konsystorza warszawskiego, na biskupa-sufragana warszawskiego;

Ks. prałat Wojciech Stanisław Owczarek, wikaryusz jeneralny konsystorza włocławskiego, na biskupa-sufragana włocławskiego;

Ks. prałat Władysław Krynicki, regens włocławskiego seminaryum duchownego, na biskupa-sufragana włocławskiego;

Ks. prałat Adolf Szelążek, szef sekcyi dla spraw katolickich w depart. wyznań w ministeryum ośw. publ. i wyznań religijnych, na biskupa-sufragana płockiego;

Ks. prałat Paweł Kubicki, wikaryusz jeneralny i regens seminaryum w Sandomierzu, na biskupa-sufragana sandomierskiego;

Ks. prałat Romuald Jałbrzykowski na biskupa-sufragana sejneńskiego.

„Kuryer Warszawski“ donosi, że spodziewane są w najbliższych czasach mianowania biskupów dyecezyalnych dla Lublina, Janowa, Wilna i Kamieńca podolskiego.

Nowy Biskup-Sufragan lwowski.

W miejsce księdza biskupa Bandurskiego, który ustąpił ze sufraganii lwowskiej i osiadł w Wiedniu, zamianował Ojciec św. biskupem-sufraganem lwowskim Ks. Dr. **Bolesława Twardowskiego**. Ksiądz biskup Twardowski urodził się w r. 1864. Święcenia kapłańskie otrzymał w 22 roku życia. Przez długie lata był proboszczem i dziekanem w Tarnopolu, gdzie położył wybitne zasługi i zaskarbił sobie wdzięczną pamięć u swych owieczek. Nowy tarnopolski kościół jemu przedewszystkiem zawdzięcza budowę. Na stanowisku dziekana tarnopolskiego zastała Ks. Dr. Twardowskiego inwazya moskiewska. Nie uchodził przed nieprzyjacielem, wytrwał na swej placówce i prowadził ruchliwą akcyę opiekuńczą

Ucierpiał dosyć od Moskali, którzy go wywieźli z Tarnopola i trzymali po rozmaitych turmach. Niebawem po odejściu Moskali został Ks. Twardowski mianowany kanonikiem lwowskim, a obecnie został podniesiony do godności biskupa-sufragana lwowskiego.

Błogosławieństwo Ojca św. dla Związku katolicko-ludowego w Galicyi.

Na wspaniałym Zjeździe delegatów polskiego Związku katolicko-ludowego, który się odbył w Tarnowie dnia 11 marca, uchwalono jednogłośnie na wniosek ks. proboszcza Albina z Chełmu przesłać Ojcu św. Benedyktowi XV wyrazy czci, miłości i synowskiego przywiązania za Jego starania pokojowe i miłość dla narodu polskiego. W wykonaniu tej uchwały przesłał Wydział Rady naczelnej pismo do Ojca św. z wyrazami hołdu, czci, miłości i posłuszeństwa, a zarazem z prośbą o błogosławieństwo Apostolskie dla Związku. Pismo to przesłano za pośrednictwem Nuncyatury apostolskiej w Wiedniu. Na pismo hołdownicze przyszła od Ojca św. do prezesa Związku, posła Potoczka, następująca odpowiedź: „Czcigodny Panie! Wyrazy synowskiej miłości i posłuszeństwa, które Związek katolicko-ludowy z okazyi Zjazdu, niedawno odbytego w Tarnowie, złożył w hołdzie Ojcu św., zostały przez Niego mile i łaskawie przyjęte. Okazuje bowiem Najwyższy Pasterz jak najżywszą troskę o los swych synów, zamieszkujących Polskę, tak z powodu ich wierności już oddawna wypróbowanej, jak też z powodu ciężkich przejść i nieszczęść tej wojny. Dlatego też Ojciec św. przeze mnie serdecznie dziękuje i błagając Dawcę wszelkiego dobra za przyczyną Najśw. Maryi Panny, „Królowej Polski“ o jak największą pomyślność dla tego Związku, Tobie, który temu Związkowi przewodniczysz, i wszystkim, którzy się zapisali lub zapiszą do tego Związku, udziela ze serca Apostolskiego Błogosławieństwa. Z należnem poważaniem pozostaję oddany P. Kard. Gaspari. Dano w Watykanie d. 27 czerwca 1918“.

Czy prowokacya?

Pod tym tytułem pisze gazeta „Echo Przemyskie“ w numerze 34 z dnia 18 sierpnia:

W niedzielę, dnia 11 sierpnia, około godz. 7 wieczorem szła przez ul. Franciszkańską procesya z kościoła katedralnego na powitanie kompanii lwowskiej, idącej na odpust do Kalwaryi Pasławskiej. Był to czas promenady pewnej części ludności przemyskiej, ludności tej rumianej, dobrze odżywiającej się i zawsze sytej. Od kościoła OO. Franciszkanów aż do placu na Bramie śpiewającym ludziom w procesyi towarzyszyły śmiechy i drwiny żydów. Do punktu kulminacyjnego doszły te urągania „ludu wybranego“, gdy procesya witała kompanię lwowską. Tych kilka słów kronikarskich i tyle.

Ale sięgnijmy głębiej. W ostatnich miesiącach wojny ludność ta, zażywająca w Polsce gościny w całej pełni, zaczyna przybierać charakter zwycięzcy w stosunku do Polaków i Rusinów, jako ludności przez siebie pobitej i ujarzmionej. Ludność nasza katolicka poniosła przez wojnę straty wielkie, straty, które dziesiątki lat następnych będą musiały się składać na zagojenie tych ran. Bardzo natomiast mało straty ponieśli ci, którzy z nieprzyjacielem dawali sobie radę, nawet często z wielką korzyścią dla siebie.

Temu szczepowi żadna bieda, nawet pożoga wojenna nie potrafi zaszkodzić, owszem, jak kruki na pobojowisku żer wielki znajdują, tak też i oni nawet ci, którzy przed wojną zapałki po ulicach sprzedawali, stali się dziś w drodze lichwy i paskarstwa milionerami.

Otyłym i sytym żołądkom wyśmiewanie się z procesyi i śpiewów nabożnych ludu katolickiego sprawia tak wielką satysfakcyę, że rzuciwszy maskę „oświeconego żyda“, daje upust swej dzikiej naturze i iście wschodniej z czasów średnich wieków kulturze i nienawiści do „gojów“.

Gdyby te katolickie procesye odbywały się naprawdę w żydowskiem państwie, to przecież kultura XX-go wieku nie pozwoliłaby na taką nietolerancyę, będącą oznaką ludów dzikich. Musimy przyznać, że dzikie szczepy Murzynów lub Indyan stoją o wiele wyżej od tych opasłych i dobrze odżywionych obcoplemieńców. Kulturę tę możemy nazwać czarnosecińsiwem Leninów, Trockich i im podobnych posiepaków. Ale hola, panowie! Nie radzimy wam rozjątrzać i prowokować katolików, odwiecznych dziedziców tej ziemi, bo sprowadzicie na siebie rzeczy takie, za które społeczeństwo katolickie nie będzie mogło brać na siebie odpowiedzialności. Wzbogaciliście się naszą niedolą i niemocą, nie drwijcie z najświętszych uczuć narodu katolickiego, choćby pamiętając na słowa, że „zemsta jest zawsze straszna w swych skutkach“. Bądźcie panowie ostrożni i nie igrajcie z ogniem, bo nie wiemy, co jutro przyniesie.

Poznali się na was już Niemcy i zamykają granice swego państwa przed inwazyą waszą, poznaliśmy się i my i potrafimy odpłacić pięknem za nadobne. Ostrożnie, panowie!

Znajdziem tysiąc pochlebców w pośrodku wesela,
Zła chwila prawdziwego stępłem przyjaciela.

Adam Naruszewicz.

Z dziedziny wiary i obyczajów.

J. B. ZALESKI.

Do Anioła Stróża.

Odziany w blask,
Przesłańcze łask,
Aniele Stróżu mój:

Oświecaj, chroń,
I w dłoni dłoń
Tocz obok ze złem bój.

Bym w biegu lat
Zmógł ciało, świat,
Wybielał z moich zmaz,

Aż czysty duch,
Jak z druhem druh,
Do Ojca wzlecim wraz.

Jak uczyć dzieci pokory.

Rodzice powinni w sercach swych dzieci założyć fundament cnotliwego życia. Życie uczciwe i bogobojne, to życie cnotliwe. Czem są kwiaty i owoce na drzewie, tem są cnoty w życiu ludzkiem. Bez owocu drzewo jest dzikie, zajmuje w sadzie miejsce, ale pożytku nie daje. Bez cnoty człowiek ani ludziom nie jest pożyteczny, ani Bogu nie jest miły.

Posłuszeństwo, o którem była mowa w numerze poprzednim naszego pisma, jest cnotą.

Inną cnotą jest pokora. Także i tę cnotę niech rodzice zaszczepią w duszy swego dziecka. Bez pokory wyrosną dzieci na pyszałków i samochwalców, na ludzi próżnych i nadętych, a tymczasem chrześcijanin ma być pokorny. Bóg pysznym się sprzeciwia. Zbawiciel był pokornym: uniżył się, gdy się stał człowiekiem, w stajence się narodził, ludziom był poddanym, śmierć haniebną na krzyżu poniósł. Dlatego Bóg wywyższył Go.

Od ludzi żąda też P. Jezus pokory, mówiąc: „Kto się tedy uniży, ten jest większy w Królestwie niebieskiem" (Mat. 18, 4). Niechże rodzice nie wychwalają swych dzieci w ich obecności. Czasem dziecko trzeba pochwalić, gdy co zrobi dobrze, ale tej pochwały lepiej udzielić mu w cztery oczy, niż wobec innych. Niech nie nabijają głowy dziecka, a zwłaszcza córki, że taka piękna i niech jej nie każą do lustra często zaglądać, ale przeciwnie, niech wkładają w swe dzieci to przekonanie, że piękność, to rzecz przemijająca; że na piękność P. Bóg nie patrzy, ale patrzy na serce.

Niedobrze to jest, gdy matka wkłada w uszy córki takie na przykład nauki: „Widzisz, tyś córka gospodarska, to nie możesz iść w takiej starej sukni między ludzi: co innego Jadwiga, córka biednej matki, jej wszystko ujdzie!". Gdyby tak niejedna matka przyszła między dzieci do szkoły, toby wnet zobaczyła, jak to niejedno dziecko, ubrane w nowe sukienki, z kolczykami w uszach, z koralikami na szyi, spogląda z upodobaniem po sobie, a po niem znać, że sobie myśli w duszy: „Patrzcie na mnie, ja nie taka, jak wy; was nie stać, abyście się tak do kościoła wystroiły, jak ja do szkoły". To jest próżność.

Dziewczęta lubią się wynosić nad innych strojami, pięknością, a chłopcy zręcznością, siłą i rozumem.

Niechże matka nie podsyca w córce tej chęci podobania się i strojenia, ale niech jej przypomina, że lepiej, aby ją P. Bóg chwalił niż ludzie.

Jeżeli się synek przechwala, to niech go ojciec lub matka zawstydzi przez ośmieszenie tych przechwałek, albo powie: „Patrz, ten lub tamten nie taką rzecz zrobił, a nie chwali się".

Roztropny ojciec i matka nie dopuszczą też, aby ich dzieci miały innymi, na przykład biednymi, skromnie ubranymi, niedołężnymi pogardzać, gdyż to jest także pycha. O dzieciach swoich niech rodzice nie rozpowiadają, jakie są mądre, sprytne, pojętne, a zwłaszcza niech tego nie czynią przy dzieciach, aby takiemi próżnościami umysłu dzieci nie zaprzątać.

Jeżeli rodzice pragną, by ich dzieci były skromne i pokorne, to muszą sami być takimi. Nie dasz dziecku tego, czego sam nie masz.

A zatem ojcze i matko! — dziękujcie Bogu za wszystko, ale nie tak, jak ów pyszny faryzeusz, który mówił: „Panie Boże, dziękuję ci, żem nie taki jak inni". Jeżeli jesteście bogaci, to Opatrzność Boska. Jeżeli nie pijecie i nie kradniecie, to łaska Boska. Drudzy może od was gorsi, ale kto wie, czyja w tem wina. Tak myślcie i tak postępujcie, a dacie dzieciom przykład pokory. Matko, nie strój się, nie bądź sobą zanadto zajęta, nie chwal się, nie gardź niższymi, bo nie nauczysz twych dzieci pokory, ale zatrujesz ich serce próżnością i pychą.

Święcenia kapłańskie w obozie jeńców.

Miały miejsce te święcenia w miejscowości Eutin w Holsztynie w obozie jeńców francuskich w dniu 2 lipca 1918 r. Święcenia dokonał biskup Verning z Osnabrück przy sposobności swej wizytacyi biskupiej. Między jeńcami francuskimi

znajdował się oficer, który już był dyakonem t. zn. otrzymał już wszystkie święcenia, prowadzące do kapłaństwa; przed wyświęceniem jednak na księdza musiał iść do szeregów. Starał się on długi czas, aby jego własny biskup z Cambray (czytaj Kambre) posłał potrzebne papiery i zezwolenie do biskupa niemieckiego. Kiedy nareszcie po długiem jego wyczekiwaniu papiery przyszły do Osnabrück, mógł dostąpić godności kapłańskiej. Chwila ta była podniosła i rzewna. Wzruszająco odbyła się ceremonia wkładania rąk na głowę lewity przez księży francuskich, jego kolegów, tak samo jak on jeńców wojennych. Rzewną była chwila, gdy młody kapłan przyrzekał na ręce biskupa Verninga posłuszeństwo swojemu prawowitemu biskupowi z Kambre. W następną niedzielę odprawił wyświęcony kapłan w kaplicy jeńców swe prymicye czyli pierwszą mszę św., po której, jak to jest zwyczajem, udzielał kapłańskiego błogosławieństwa.

Przy tej sposobności wspomnieć wypada, że jeszcze w r. 1914 w jesieni odprawił młody, dopiero co wyświęcony ksiądz francuski, prymicye swoje w obozie jeńców pod Berlinem. Święcenia kapłańskie otrzymał on wprawdzie w swej ojczyźnie, ale w samym dniu święceń musiał iść pod broń: jako kapral kolumny sanitetów dostał się do niewoli i tutaj dopiero mógł wobec mnóstwa rodaków-jeńców swą pierwszą mszę św. odprawić.

Męczennik Papiestwa.

Tak nazywa historya kościelna papieża Piusa IX. W poprzednim numerze naszego pisma daliśmy obietnicę, że przesuniemy przed oczyma czytelników szereg najwybitniejszych synów Kościoła katolickiego i to takich, co do których toczą się dzisiaj procesy beatyfikacyjne albo kanonizacyjne. Mają oni być dowodem świętości Kościoła w czasach dzisiejszych i mają, jako żywe wzory dla nas, zachęcać nas do pokochania Kościoła i do wytrwania w Kościele aż do śmierci. Szereg tych bohaterów cnoty, tych wielkich mężów i niewiast, zaczynamy od przepięknej postaci, ukoronowanej tyarą papieską i dla której ta tyara była prawdziwie koroną męczeńską.

Męczennikiem Papiestwa był Pius IX. Urodzony w roku 1792 w Sinigalii, jako syn hr. Hieronima Mastai-Feretti'ego odebrał wychowanie naprzód w domu u pobożnej matki, a potem w 10-tym roku życia posłany został do szkół, w których celował zdolnościami i zachwycał czystością obyczajów. Już w dzieciństwie miał on szczególniejsze nabożeństwo do Matki Boskiej i wielkie przywiązanie do Stolicy Apostolskiej. Nabożeństwo do Matki Bożej wpoiła w młodego Jana Maryę (takie bowiem odebrał imię na chrzcie św.) matka i nabożeństwo to stało się jednym z charakterystycznych rysów duszy młodzieńca, potem kapłana i dostojnika kościelnego, wreszcie papieża. Taksamo matka zasiała i rozdmuchała w jego sercu Miłość ku Ojcu świętemu, synowskie przywiązanie do Stolicy Apostolskiej. Kiedy n. p. w czasie wojen napoleońskich papież Pius VI. został przez wojska francuskie uprowadzony z Rzymu i wywieziony do Francyi, Jan Mastai modlił się wraz z matką swoją za niego i o nawrócenie jego prześladowców.

W 16-tym roku życia, po chlubnem ukończeniu szkoły, stanął Jan przed wielkiem pytaniem: jaki stan wybrać dla siebie? Dwa stany pociągały jego serce. Podobało mu się wojsko, pragnął być żołnierzem, służyć w armii — lecz pociągał go także stan kapłański. Kto wie, czy wybór nie byłby dokonany na korzyść służby wojskowej, gdyby nie ciężka choroba, w jaką Jan popadł, jeszcze gdy był chłopcem. Wpadł mianowicie w czasie zabawy do zimnej wody i tylko dzięki przytomności umysłu wiernego sługi nie utonął. Przerażenie chłopca jednak było tak wielkie, że dostał choroby św. Walentego, czyli padaczkę. Choroba ta powtarzała się często, wobec tego Jan żołnierzem być nie mógł. Ale i księdzem z tego samego powodu być nie mógł. Do seminaryum jednak wstąpił, jakby w jakiemś wewnętrznem przekonaniu, że Bóg go z tej choroby wyzwoli. Modlił się też o tę łaskę, gorąco i wytrwale i z wielką wiarą, ale mimo to choroba trwała. Jednego dnia, gdy jako kleryk, wyszedł na ulicę miasta Rzymu, doznał ataku tak strasznego, jak nigdy przedtem. Doniosło się to nawet do Ojca św. Piusa VII., który kazał przygnębionego chłopca do siebie przywołać, aby go pocieszyć. Wnet potem opuścił Jan Rzym, udał się do miasteczka Loretto i przebywał tam czas dłuższy, modląc się i błagając Matkę Bożą o uleczenie z choroby. I dziwna rzecz — opuścił Loretto w usposobieniu wesołem i pogodnem, z głęboką wiarą, że został wysłuchany. Choroba istotnie znikła i już aż do jego śmierci nigdy się nie powtórzyła, Jan zaś dostał potrzebne dyspenzy i otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1819. Tak tedy choroba ta była w planach Bożych środkiem, za pomocą którego Bóg go pociągnął do swej służby.

Jako młody ksiądz Jan Mastai dużo się modlił i obcował z ludźmi świątobliwymi. Dał się też rychło poznać ze swych wybitnych zdolności i ze swych cnót, powierzano mu ważne misye do spełnienia, wreszcie w r. 1827 został mianowany arcybiskupem Spoleto, w r. 1832 biskupem Imoli, w r. 1840 kardynałem, wreszcie w r. 1846 dnia 16 czerwca obrano go papieżem. Jako papież przybrał sobie imię Piusa. Gdy następnego dnia

wjeżdżał na swą stolicę do kwirynału w towarzystwie ogromnych tłumów ludności, rzekł do swego towarzysza: „Dziś zaczyna się prześladowanie". Były to prorocze słowa. Pius IX. był papieżem bardzo prześladowanym, był męczennikiem papiestwa. Ileż nie wycierpiał, ileż boleści nie przeniósł! Czasy, w których zaczął rządzić Kościołem, były to czasy burz i rewolucyi; Pius IX. nieraz nie był pewny swego życia, z Rzymu nawet uciekać musiał potajemnie i kryć się przed nieprzyjaciółmi. Nareszcie w r. 1870 doczekał się tego, że mu odebrano dobra kościelne, że powalono państwo kościelne, a jego samego zamknięto w Watykanie. Papież stał się więźniem Watykanu i jako taki prowadził cierniowy żywot aż do śmierci, która nastąpiła w r. 1878.

Historycy, przedstawiający życie i panowanie Piusa IX., podkreślają przedewszystkiem trzy jego dzieła, jako najwybitniejsze i charakterystyczne w jego rządach. Dzieła te przeciwstawiają się dziwnie trzem wadom ówczesnych czasów, tj. zmysłowemu wyuzdaniu, niedowiarstwu i żądzy wyzwolenia się z pod wszelkiej powagi. Nowożytnemu światu, tonącemu po uszy w kale zepsucia moralnego, stawił Pius IX. przed oczy Niepokalaną Dziewicę Maryę, kiedy w r. 1854 ogłosił dogmat o Niepokalanem Jej Poczęciu. Ufał Pius IX. i słusznie, że przez Matkę Najśw. uleczy świat z jego nędz i zepsucia. Dzieło to znalazło poklask w sercach milionów wiernych katolików i przyczyniło się do naśladowania przez nich Niepokalanej Dziewicy.

Niedowiarstwo szerzyło się po świecie pod płaszczykiem wiedzy, nauki. Pod temi hucznemi hasłami usiłowało ono wedrzeć się nawet do nauki Kościelnej. Pius IX. spostrzegł rychło niebezpieczeństwo i wydał w r. 1864 do całego katolickiego świata pismo „Syllabus". Rzucono się na papieża za to pismo, obrzucano go obelgami, ale Pius IX. od zasad nie odstępował, wiedząc, że on, jako namiestnik Chrystusa na ziemi, jest stróżem czystości wiary. Do osiągnięcia tego celu „Syllabus" ogromnie się przyczynił.

Wreszcie w r. 1870 na soborze watykańskim ogłosił Pius IX. dogmat o nieomylności papieża w rzeczach wiary i obyczajów. Ileż znowu oszczerstw, ileż obelg podniosło się za to na niego. Spiknęły się na niego rządy, potępiali go jego nieprzyjaciele, z bojaźnią i niepokojem odzywali się o tem przyjaciele. Dziś dopiero widzimy, jak wielkiem jest ten dogmat dobrodziejstwem. Nie zawierał on zresztą żadnej nowej prawdy, bo przecież Chrystus Pan Piotrowi dał ten szczególniejszy przywilej, dał go i jego następcom, co wszystkie wieki chrześciaństwa uznawały i zawsze w wątpliwościach do Rzymu się uciekały z pytaniami i prośbami o rozstrzygnięcie. Historycy szeroko to dzisiaj omawiają. I Bogu tylko za to dziękować, że w chaosie pojęć i zapatrywań dał ludziom, dał Kościołowi człowieka, który ma w rzeczach wiary i obyczajów ostatecznie rozstrzygać i to rozstrzygać nieomylnie tak, że my katolicy nie chodzimy w niepewności, wiemy, w co wierzyć i co czynić, aby się zbawić! Bogu za to od nas dzięka, a pamięci Piusa IX. wdzięczność! Umarł ten papież po 32-letniem swem panowaniu, jako święty. Jeszcze za jego życia otrzymywali ludzie od Boga za jego pośrednictwem nadzwyczajne łaski. A po śmierci ilość cudów na jego grobie wzmogła się tak, że w r. 1907 rozpoczął się w Rzymie jego proces kanonizacyjny.

Życie prywatne Piusa IX. było czyste i święte. Ci, co na t żoycie patrzeli, nazywali go wprost świętym. Wrogowie, co się rzucali na niego, nie mogli jego prywatnemu życiu nic zarzucić, to jedno tylko mu zarzucali, że był zanadto katolikiem. Ależ w tem właśnie zasługa i chluba Piusa. W tem go i my naśladujmy. Nie bądźmy katolikami w połowie jeno, ale katolikami w całości. Kochajmy Kościół, wierzmy w to, czego nas naucza, czyńmy to, co nam nakazuje. Gdy trzeba, cierpmy dla Kościoła, jak Pius IX., aby nad trumną naszą za jedyny sąd o nas to tylko słyszeć było można, że byliśmy katolikami. **St.**

Życzenia w samotności.

Szczęśliwy, kto samotnem ciesząc się schronieniem,
Dzieli swe chwile, mądrym tylko znaną sztuką,
Między lubą nadzieją i tkliwem wspomnieniem,
Między spoczynkiem, nauką.

Szczęśliwy, kto zasypia z wolną od trosk głową,
Ani co jutro będzie, tem się we snach trudzi;
Którego nudnik ciężką nie usypia mową,
Ani też natręt przebudzi.

(J. U. Niemcewicz).

Ostatnie rozgrzeszenie.

Krakowski „Głos Narodu" podał szereg obrazków z wojny pod napisem: „Krzyż w okopach". Jedno z tych opowiadań przedstawia nam wzruszającą scenę, którą dla zbudowania wiernych poniżej podajemy:

Na sali francuskiego lazaretu polnego leży umierający żołnierz.

Siostra pochyla się nad umierającym, powiada mu o skrusze i żalu za grzechy, nie może stłumić żalu i płacze na głos:

— O Boże! Że też niema księdza dla tych biednych umierających dzieci!

Sąsiad słyszy jej skargi i przywołuje ją:

— Siostro... tam... w głębi sali... jest ksiądz.

— Ksiądz? Jest tutaj ksiądz?

— Jest, ale obarc... taki słaby... ale mogi

zmiażdżone a przytem ranny w piersi i w ramię; padliśmy równocześnie, obok siebie, prawie dotykając się *). To on mi dał rozgrzeszenie...

I jednym palcem, który pozostał u ręki, wskazuje w głąb sali, gdzie leży ksiądz.

Zakonnica biegnie do rannego, który nie widzi jej. Przed łóżkiem zatrzymuje się z wahaniem i szepce:

— O mój Boże! to ten!

Opadają jej ramiona, a ten gest mówi o wielkiem rozczarowaniu:

— To ten!

Nadzieja rozwiewa się. Biedny młody proboszcz! Leży w omdleniu od rana, od chwili przybycia. Niepodobna obudzić życia w tem ciele o twarzy trupa. Nie umarł jeszcze, ale tak bliski zgonu! Przed chwilą lekarz badał go w czasie swej krótkiej wizyty i wskazując na kałużę krwi, w której był skąpany, rzekł:

— Tu już nic nie poradzę, wszystko skończone.

I te posępne słowa brzmią jeszcze w uszach siostry. Ostatnia nadzieja znikła. Wszystko skończone! A tamten czeka pomocy i nie otrzyma jej!

Wtedy siostra, opanowawszy przerażenie, ufna w to, co niemożliwe, a co niekiedy urzeczywistnia się za sprawą Bożą, pochyla się tuż nad głową o zmarłych rysach:

— Proszę księdza... Proszę księdza...

Jakiej nadprzyrodzonej mocy użycza Bóg w pewnych chwilach wierze! Oczy umierającego otwierają się. Zakonnica, zebrawszy całą odwagę, znajduje siłę, aby powtórzyć umierającemu prośbę tamtego, który kona:

— Jeden nieszczęśliwy konający prosi o rozgrzeszenie.

Cicho, tak, że ledwie można odgadnąć słowo przyjmujące wzniosłe zadanie na progu śmierci, szepce ksiądz-żołnierz:

— Zanieście mnie...

Czterech sanitaryuszy podnosi łóżko i zwolna, unikając wstrząśnień, które mogłyby przyspieszyć koniec, zanosi pocieszyciela do tego, który czeka.

Niesiony ma oczy zamknięte. Siostra nie wie, czy to nie trupa już niosą...

— Tutaj! — rozkazuje zakonnica. — zbliżyć głowę do głowy... łagodnie, bez wstrząśnień...

Ksiądz ponownie otwiera oczy i spoglądając na towarzysza, powiada mocnym głosem:

— Zbliż się, moje dziecię... spieszmy się... czas nagli...

Siostra miłosierdzia usuwa się. Zaczyna się spowiedź. W końcu rozgrzeszenie.

Ksiądz skupia się. Resztka życia, która w nim drga, wypływa z głębin duszy, tlącej się w martwom prawie ciele. W ostatnim wysiłku chce wyprostować się, aby nad nawróconym wznieść rękę błogosławiącą, symbol zupełnego odpuszczenia win. Ale ręka pozostaje nieruchoma, już ubezwładniona omdleniem, które paraliżuje członki.

Wtedy błagającem spojrzeniem wzywa ksiądz siostrę miłosierdzia:

—Siostro, proszę mi podnieść rękę.

Na łóżkach podnoszą się ranni, aby zobaczyć scenę, jakiej nigdy nie oglądali.

Sanitaryusze uklękli, przejęci wielkością Bożego dzieła. I wszyscy spoglądają na tych dwóch konających, których dusze żyją i działają w dramacie, rozgrywającym się między ziemią a niebem.

Nabożnie, drżącemi rękami, bierze siostra z uszanowaniem ramię księdza i wyciąga je nad konającym w modlitwie człowiekiem:

— Dominus noster Jezus Christus te absolvat...

Głos zamiera na zbolałych ustach. Ale odruch woli opanowuje fatalne osłabienie i z warg apostoła wymykają się słowa ledwie dosłyszalne, szeptane ostatnim wysiłkiem:

— ...Ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti...

Cisza. Zakonnica spogląda na obu, po przez zasłonę łez wydają się jej coraz bledsi...

Czeka jeszcze parę sekund a potem, czując, że ramię cięży a ciało ziębnie, pojmuje, iż wszystko skończone: dzieło najwyższego poświęcenia — i życie.

Dwa westchnienia, zlane w jedno, zwiastują klęczącej kobiecie koniec dwóch istnień dopełniających się równocześnie. W jednej chwili oddaje ducha i ksiądz i ten, którego zbawił.

Siostra miłosierdzia ociera łzy. Wspaniałe piękno tego zakończenia rozświetla smutek żałobny. Obaj żołnierze odchodzą razem, po wojskowemu, na rozkaz Pana.

Siostra splata ich ręce i łączy ich palce więzami różańca.

Wszystkie serca drżą do głębi jednem wzruszeniem — płaczą sanitaryusze, a zakonnica uśmiecha się...

*) We Francyi zaciągają księży do służby czynnej z bronią.

Skąd spokój?

Szczęścia, dostatków, sławy nie zajrzę nikomu
I dlatego mam spokój i w sercu i w domu.

(J. B. Zaleski).

Krzyż waleczności.

Cesarz Francuzów, Napoleon I, kroczył na czele swych wojsk walecznych od kraju do kraju w Europie. Dumne orły jego unosiły się zwycięsko ponad krajami, przez które stopy jego przeszły. Wojsko z uwielbieniem patrzało na swego

wodza. Żołnierze starali się prześcignąć jeden drugiego w spełnianiu swych powinności. W gwardyi cesarskiej służył młody chłopak, który walczył w czasie bitwy z narażeniem swego życia, aby się przyczynić do zwycięstwa ukochanego wodza. W największych opałach spoczęło oko cesarza na nim. Żołnierz wyczytał w niem uznanie i uwielbienie. Jaka była radość jego, gdy cesarz mu powiedział: „Jesteś mężnym, mój synu, otrzymasz krzyż legii honorowej".

Młodego grenadyera uszczęśliwiły słowa wodza nadzwyczaj. Walczył on jak lew, dumny, uszczęśliwiony; wyobraźnia jego już krzyżem upragnionym piersi ozdobiła. Wszak ten krzyż, to najgorętsze w życiu żołnierza francuskiego życzenie.

W wirze życia codziennego dumny cesarz zapomniał o przyrzeczeniu, które dał prostemu żołnierzowi. A to tem więcej, że nie nadarzyła się sposobność stanąć przed wodzem. Nie martwił się o to, wszak miał przyrzeczenie swego cesarza, a ten słowa danego dotrzyma. Poczeka on cierpliwie, przecież krzyż i tak mu nie ucieczе.

Tak biegł rok za rokiem, wojsko dążyło od kraju do kraju, wszędzie znacząc drogę zwycięstwami. Poczciwy grenadyer spełniał gorliwie swoją powinność, czekał cierpliwie chwili, kiedy się nadarzy sposobność stanąć przed wodzem, a wtedy on krzyżem ozdobiony będzie. Kazano mu iść na odwach, to poszedł, stał cierpliwie w chłodzie i słocie, marzył o krzyżu upragnionym, który otrzyma na pewne. Kazano mu walczyć, walczył mężnie, wszak musi to czynić, aby stać się godnym krzyża, który mu cesarz obiecał.

Opuścił już dawno ojczyznę; przebyli oni już kraje włoskie, niemieckie, hiszpańskie, teraz otrzymali rozkaz skierowania się w stronę Rosyi.

Marzył i marzył, ale jakoś nie nadarzała się upragniona sposobność zwrócenia na siebie spojrzenia cesarza.

Lecz czas ubiegał, a on krzyża jak nie ma, tak nie ma. Śmiali się z niego kamraci, że może tak ślepo wierzyć w to, iż krzyż otrzyma, że nadzieja, to przecież matka głupich, może być pewnym, że ta nadzieja się nigdy nie ziści. Cesarz dawno zapomniał. Jak mógł nawet o tem myśleć, że cesarz dziś sobie jeszcze przypomnieć zdoła, co przed tak długim czasem obiecał.

To też unikał złych przyjaciół i towarzyszy, spełniał sumiennie swoją powinność. Palące pragnienie owładnęło sercem jego dożyć sposobności odznaczenia się przed cesarzem, aby mu przywieść na pamięć dane przyrzeczenie. Walczył jak szalony, lecz napróżno; sposobności nie było stanąć przed cesarzem, a krzyża nie otrzymywał.

Nareszcie po długich latach wyczekiwania padło spojrzenie cesarza na niego. Nie było to, co prawda, z okazyi zwycięstwa na pobojowisku, nie, dziś spojrzał cesarz nieszczęśliwy, zgnębiony, na wiernego grenadyera w czasie marszu uciążliwego na pokrytym śniegiem stepie moskiewskim. Cesarz poznał go zaraz, pomimo minionego długiego szeregu lat. Nie napróżno podziwiano przecież szaloną pamięć Napoleona. Ujrzawszy raz w życiu jaką osobę, zawsze ją sobie przypomnieć zdołał.

Cesarz zdjął własny krzyż ze swej piersi i podał go w obecności całego pułku grenadyerowi, mówiąc: „Jak się miewasz, stary towarzyszu broni? Weź krzyż tak dawno przyrzeczony. Niemniej stał on ci się zapewne drogim w czasie długiego oczekiwania".

Na drodze naszego życia i my mamy wodza potężnego, Pana nad Pany, króla nad króle. On obiecał i nam krzyż cenny tak bardzo, lecz musimy go zdobyć sobie życiem czystem i uczciwem.

Walczmy mężnie z uciążliwościami życia naszego, nie baczmy na rany i razy, które nas spotykają na ciele i duszy. Nie przypuszczajmy, że to są rzeczy najgorsze, które nas spotkać mogły.

Cierpliwie znosić wszystko, mężnie kroczyć naprzód na twardej drodze życia, to próba, którą nam Bóg nałożył na barki, przebędziemy ją szczęśliwie, to Bóg nas krzyżem odznaczy.

Znośmy z radością upokorzenia drobne, palące, upokorzenia, spowodowane życiem codziennem, spadające co chwila na nas. Spełniajmy przykre nasze obowiązki sumiennie. Nie narzekajmy, że powracają codziennie przez cały bieg życia naszego. Nikt nam za to zaparcie się siebie nie podziękuje, nikt nie uzna poświęcenia. Ale bądźmy pewni, że prędzej zdobędziemy krzyż legii honorowej u Boga, aniżeli ów grenadyer w wirze bitwy go zdobył.

WYDAWCA KS. LUDWIK KASPRZYK. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. ST. SAPIŃSKI
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.